

W: Był pan wicedyrektorem Narodowego Starego Teatru pod kierunkiem Jana Kłaty i nie dokończył pan kadencji w Krakowie. Skąd ta zmiana i w jakich okolicznościach odbył się pana transfer do Łodzi?

SEBASTIAN MAJEWSKI: Moja funkcja w Narodowym Starym Teatrze nie była kadencyjna. Pracowałem tam na umowę o pracę, a nie w ramach kontraktu. Nie zrywałem więc kontraktu, tylko rozwiązywałem stosunek pracy. To duża różnica. A decyzję o odejściu podjąłem w momencie, w którym czułem, że pomysł na teatr, jaki mieliśmy z Janem Klatą, udało się zrealizować, pomimo zawirowań, jakie z tą zmianą były związane. Po premierze „Nie-Boskiej komedii. Wszystko powiem Bogu!” w reżyserii Moniki Strzępki wiedziałem już, że wszystko zaskoczyło i bez większych problemów będzie funkcjonować. Dlatego postanowiłem wrócić do Wrocławia, zając się pisaniem i dramaturgią. I wtedy, nieoczekiwanie, przyszła do mnie propozycja od Mariusza Grzegorzka, czy nie rozważyłbym spotkania z zespołem aktorskim Teatru Jaracza w Łodzi. Naświetlił mi sytuację w teatrze. A ja pojechałem. Potem dowiedziałem się, że zespół spotkał się też z innymi twórcami i w głosowaniu wybrał mnie jako swojego kandydata. Od tego momentu zacząłem przygotowywać program na zbliżający się sezon. Taka jest historia tego zdarzenia.

Łódź ma swoją miejską, kapitalistyczną legendę, ale nie ukrywajmy, po 1989 roku doszło tu do załamania ekonomicznego. Czy widzi pan podobieństwa między Łodzią a Wałbrzychem, gdzie zaczął pan swój pochod dyrektorski?

Zyjąc w Łodzi, patrząc i spotykając się z nią, zaczynam rozumieć, że jest ona z jednej strony sumą wszelkich doświadczeń polskiej transformacji, a z drugiej pozostaje jakby obok najważniejszych naszych zdarzeń historycznych.

Z jednej strony to tutaj narodził się polski przemysł i kapitalizm, tutaj zwyciężyła rewolucja 1905 roku, tutaj getto pracowało najdłużej. Tutaj nie było wojennych zniszczeń i dlatego zainstalowała się na moment stolica. A z drugiej strony w Łodzi upadł prawie cały przemysł, kapitalizm pokazał swoje mroczne oblicze, transformacja niszczyła ludzi i stąd mieszkańcy wyjeżdżają na całe życie do Warszawy. To niezwykle dynamiczne procesy, które mogą dać energię nieporównywalną do tej, jaką jest w innych częściach kraju. Z tego powodu Łódź trochę przypomina Wałbrzych, ale też bardzo się od niego różni – przede wszystkim skalą.

Co czuje pan, patrząc codziennie na miasto, które ma wielki, a jednocześnie pogruchofany potencjał architektoniczny, industrialny, wreszcie ludzki?

Mam wrażenie, że o Łódź trzeba bardzo zadbać. Dać miastu i jej mieszkańcom wiele uwagi i mnóstwo odwagi, żeby wyjść poza krąg stereotypów, niemożności i narzekań. Tak obrazowo powiem, że Łódź ma w sobie lont, trzeba go tylko podpałić. I nie myśleć o konsekwencjach.

Jednocześnie Wrocław, skąd pan pochodzi, też był



MAGDA HUECKEL/TEATR IM. JARACZA

W Łodzi trzeba zapalić lont

SEBASTIAN MAJEWSKI

Dyrektor Teatru im. Jaracza mówi Jackowi Cieślakowi o doświadczeniach dyrektorskich i planach na przyszłość.

pokiereszowany, podniósł się i dziś kwitnie. Jak przebiegają te procesy?

Wydają mi się, że w przypadku Wrocławia było tak właśnie, jak powiedziałem: tam lont został podpalony i dziś mamy lot. Pamiętam to miasto jako brudne i zapuszczone, skąd mieszkańcy też chcieli jak najszybciej wyjechać. Nikt nie czuł się wrocławianinem, bo takiej kategorii po prostu nie było. I dopiero odwaga Bogdana Zdrojewskiego – prezydenta miasta, który zamknął Rynek, żeby go wyremontować, i mieszkańców, którzy miesiąc po oddaniu tego wyremontowanego Rynku stanęli na wałach, żeby bronić go i całego miasta przed powodzią w 1997 roku, spowodowała, że zaczęliśmy myśleć o Wrocławiu jako o naszym mieście. Zaczęliśmy traktować go osobiście. Zaczęło nam na tym mieście po prostu zależeć. I zależy do dziś.

Jakie reakcje wywołują wypowiedzi takie jak Bogusława Lindy na temat Łodzi?

Powinny jednoczyć. I tak właśnie się stało. Widziałem, jak łodzianie gremialnie zjednoczyli się i wystąpili przeciw opinii Lindy.

Widziałem te koszulki z nadrukiem: jestem menelem/jestem z Łodzi. Słyszałem, jak mieszkańcy ulicy Włokienniczej, na której kręcone były sceny z Lindą, skutecznie przeszkadzali ekipie. To było wspaniałe. Ale ważniejsze jest dla mnie, czy ta energia zostanie dobrze spożytkowana, czy coś zmieni. Czy zostanie tylko w anegdocie.

Jak zaczął pan rozmowy z zespołem? Na co pan się umówił, bo sam fakt, że dojdzie do zmiany estetycznej, był chyba oczywisty. A może nie?

Umówiliśmy się na pewną niezmienność. Na kontynuowanie poszukiwań w obrębie repertuaru klasycznego. Doboru realizatorów dokonywałem tak, aby można było otworzyć klasykę na bardziej nowatorskie formy. Czyli zależało mi i zależy na tym, żeby zespół Jaracza, czyli fantastyczni aktorzy, poprzez pracę nad znaczącymi tekstami dramatycznymi, a także w obszaru dużych zadań obsadowych spotkali się z innym językiem, inną estetyką i często odmiennym myśleniem o teatrze niż dotąd.

•CV



MATERIAŁY PRASOWE

Sebastian Majewski (rocznik 1971) ukończył Akademię Teatralną na Wydziale Lalkarskim w Białymstoku. Zadebiutował w Teatrze Wierszalin spektaklem „Prawiek i inne czasy” wg Tokarczuk. Przez wiele lat współpracował z Janem Klatą jako dramaturg m.in. „Transferu!”, „Sprawy Dantona”, „Trylogii”. Był dyrektorem Teatru im. Szaniawskiego w Wałbrzychu oraz wicedyrektorem Narodowego Starego Teatru w Krakowie. ■

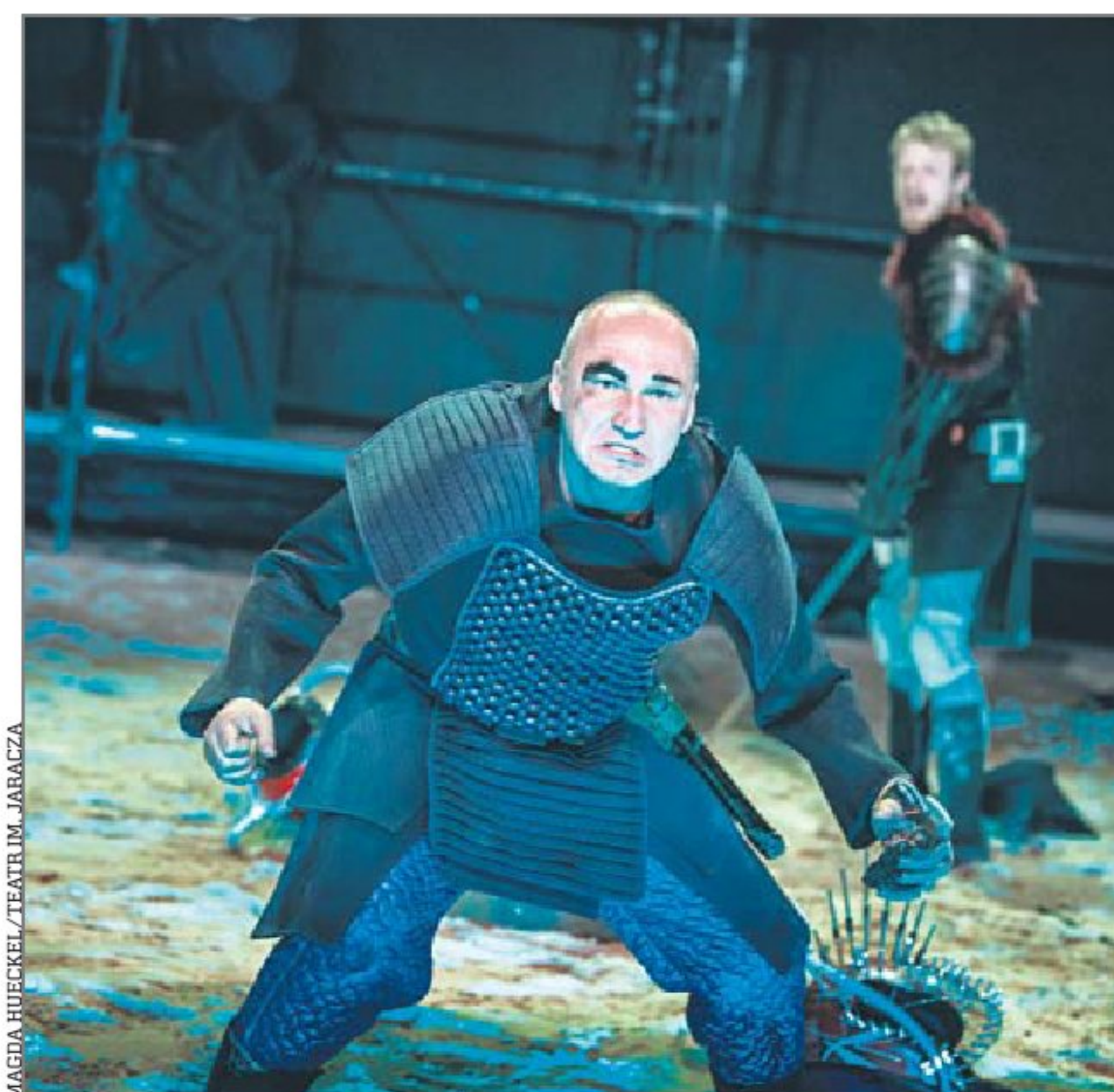
♦ „Antoniusz i Kleopatra” w reżyserii Wojciecha Farugi to spektakl o miłości ponad wszystko
♦ „Książę Niezłomny” w inscenizacji Pawła Świątka

Paweł Świątek powrócił „Księciem Niezłomnym” do wysokiej formy, dołknął kompleksu spraw związanych z chrześcijańsko-muzulmańskim klinczem, ale łódzcy recenzenci nie akceptują spektaklu. Rozmawia pan z widzami, jak czyta pan ich reakcje?

Z mojego doświadczenia dość jasno widać, że każda zmiana w teatrze wywołuje silne reakcje. Wynikają one często, choć nie zawsze, ze strachu. Boją się aktorzy, obawiają widzowie, dziennikarze nie mają zaufania. Traktuję to jako wartość dodaną. I nie obrażam się na reakcje, które są mi nieprzychylnie. Cieszę się natomiast, gdy widzę, że aktorzy, pracownicy teatru i widzowie zaczynają wierzyć, że można jeszcze inaczej, że stać wszystkich na krok do przodu, w bok albo do tyłu, ale zawsze na ruch. I to jest najważniejsze – ruch!

Kolejna premiera to „Antoniusz i Kleopatra” Szekspira.

Cieszę się z tego spektaklu bardzo. Wojtkowi Farudze i Tomkowi Jękotowi udało się zbudować wspaniałe funkcjonujący zespół, który wyniósł Szekspira daleko poza zobrazowanie tekstu. To bardzo przemyślana wypowiedź o miłości, która jest ponad wszystko i jednocześnie jest wszystkim. To spektakl z niezwykle mocną plastyką i muzyką, które idealnie współgrają ze sobą i przenoszą treści, które w oryginalnym tekście giną często w meandrach historycznych i dramaturgicznych. To również spektakl młodych aktorów Jaracza – Agnieszki Skrzypczak, Krzyśka Wacha, Marka Nędzy, Pawła Paczesnego, Magdy Jaworskiej, którzy wchodzą w doskonale partnerskie relacje z doświadczonymi aktorami naszego teatru.



MAGDA HUECKEL/TEATR IM. JARACZA

Jak się pan czuje na scenie w „Komediancie”, jakie to doświadczenie dla dyrektora grać z aktorami, nie będąc jednym z nich?

Moją rolę w „Komediancie” traktuję jako wypowiedź organizatora przedsięwzięcia artystycznych na temat problemów z recepcją współczesnego teatru. Czyli jestem blisko intencji Bernharda. Staję się na dwie godziny trwania tego spektaklu przedstawicielem publiczności, starając się oswajać ją z wybrykami aktorskiej gwiazdy, czyli Bruscona, biorąc na siebie jego ekstrawagancję, a jednocześnie legitymizując go. Ta postać zbudowana jest wokół moich licznych indywidualnych problemów: jak zadowolić widzów, jak zachęcić ich do oglądania teatru, który jest trudny, ale i fascynujący. Jak uszanować wizję reżysera, jak nie poddać jej miażdżącej krytyce, a jednocześnie przekierować na inne tory. Dlatego mam wrażenie, że od wielu lat jestem takim właścicielem gospody, tylko to Uzbach, o którym pisał Bernhard, się

zmienia. Bardzo ważne jest dla mnie w tej wypowiedzi, że wprowadzę ją z Agnieszką Kwietniewską jako Brusconem, z aktorką, z którą pracowałem w Wałbrzychu. Obserwowałem jej rozwój, niezwykle mocno szanując i ceniąc jej aktorstwo.

Jakie są następne plany? Jakże wyznacza pan sobie perspektywy?

Za chwilę zaczynamy próby do „Wassy Żelaznowej” Marksy Małkowskiej w reżyserii Leny Frankiewicz i do „Śmierci na gruszy” Witolda Wandurskiego w reżyserii Kuby Falkowskiego. A potem jeszcze debiut reżyserski Dominiki Knapik oraz premiera „Powrotu Odysa” w reżyserii Eweliny Marciniak. W dalszej zaś przyszłości realizacja Michała Borczucha i powrót Mariusza Grzegorzka. Zależałoby mi, żeby Jaracz był teatrem, który w maksymalny sposób wykorzystuje swój potencjał aktorski, techniczny i organizacyjny ku satysfakcji naszych widzów. Tych, którzy już z nami są, i tych, którzy do nas dołączają. ©